

# Przepis na tort

DO tego doszło! Najlepszy polski film kryminalny ostatnich lat to telewizyjna adaptacja sztuki angielskiej pisarki Catherine Arley — „Wielki kawałek tortu w pulapce na myszy” — dokonana przez Janusza Majewskiego.

Osoba reżysera jest tu, oczywiście, wytyumaczeniem, ale nie całkowitzym. Janusz Majewski robi filmy różne, w tym także i bardzo dobre. Wydaje mi się, że na ten sukces (a jest to sukces niewątpliwy) złożyło się kilka czynników podstawowych: dobry scenariusz, dobre dialogi, dobre aktorstwo oraz dobra reżyseria. A więc to optimum zespołu czynników warunkujących powstanie dobrego filmu, optimum, o które tak bywa trudno.

Mówię tu ciągle o filmie, choć — wedle programu — był to raczej spektakl teatralny. Ale w telewizji ostatecznie wszystko jest filmem, choć bywa rozmaicie nazywane.

Dobry scenariusz to w tym wypadku znaczy opowiadanie skonstruowane tak, że widz ciągle się dziwi, a w końcu

jest całkowicie zaskoczony sytuacją, której nie mógł się domyślić.

Dobre dialogi, które w tej sztuce są wyraziste, jasne, nacechowane jakąś, rzec by można, złowrogą logiką. Ich język jest prosty, ale styl mówienia jest chwilami w szczególności sposób elegancki.

Dobre aktorstwo, które tu polega chyba nie na „budowaniu” postaci, na jej tworzeniu, ale na tym przede wszystkim aby pokazać działania osób i przekazać to, co scenarzysta każe im mówić. A więc trudna prostota rzetelnego — nie waham się użyć tego słowa — rzemiosła.

Pięćosobowy zaledwie zespół jest zgrany i wyrównany w sposobie wykorzystywania dużych indywidualnych umiejętności. To było, oczywiście, jasne u aktora o takim doświadczeniu, jakie posiada Andrzej Szalawski, który każdą rolę nasycił swoją nieprzeciętną osobowością aktorską. Ale tym więcej uznania należy się dla — o ileż mniej doświadczonej, a jakże uzdolnionej — Krystyny Jandy By-

ła atrakcyjną spryciarą, która budzi zaufanie, w której sugerowanie demonstrowaną szczerością wierzy się w każdej sytuacji.

Michał Pawliński harmonizował swą grą z tą parą. Może szukając pretekstu do srobnienia ocen, można by wyrazić zastrzeżenie do paru fragmentów jego roli w środkowej części spektaklu. Chyba je nieco przerysował w kierunku groteski. Mała rolka kamerdynera, zagrana przez Andrzeja Wasilewicza, nie budziła żadnych zastrzeżeń.

I wreszcie — rzecz główna: reżyseria. Odnosiło się wrażenie, że Janusz Majewski całkowicie i świadomie skrył się za swoim dziełem. Nie próbował — wydaje się — niczego dać „od siebie”, choć przecież dał całego siebie ze wszystkim. Docenił walory scenariusza, więc nie wprowadzał żadnych akcentów niezwykłych sytuacji, nie podejmował żadnych prób wprowadzania nastroju czy pogłębiania klimatu psychologicznego i moralnego całości. Czuo-

łwał jedynie aby ów nastrój i klimat, zawarte w sytuacjach sztuki, przekazać w swojej inscenizacji. Nie próbował niczego zgłębiać, chciał bowiem cieszyć widza atrakcyjnością sytuacji, zaskakującymi perypetiami, nieprzewidzianym rozwiązaniem.

Film kryminalny, nawet tak kameralny, jak ten, który w formie sztuki scenicznej pokazał nam Majewski, mało nadaje się do snucia przez widza refleksji. Ma zaciekawiać i emocjonować. Film, który widzieliśmy w telewizji (upieram się przy tym, że widzieliśmy film) spełniał to zadanie bardzo dobrze.

Majewski docenił dialogi. To niby teatralne ustępstwo jest jedną więcej wskazówką, że w filmie kryminalnym odgrywać one mogą rolę niemal równorzędną z akcją. A przecież tak bywają w naszych filmach kryminalnych lekceważone, służąc tylko do przekazywania niezbędnych informacji o działaniu i motywach działania osób. A w tym spektaklu okazało się, że dialog może dawać tyleż emocji, co akcja.

Majewski całkowicie, wydaje się, zawierzył aktorom, nie „prowadził” ich, jak to się mawia, bo też nie było tu niczego szczególnie ważkiego w temacie oraz w postaciach. Po prostu — drańska intryga drańskich jednostek. Tak, jak to bywa w powieściach sensa-

cyjnych i w filmach kryminalnych. Jedni wariaci są drugich, a czytelnik czy widz znajduje przyjemność w formie opowiadania o tym, pozostając całkowicie niez zaangażowany w jakąś potrzebę wydawania ocen moralnych. Jest to prawo i przywilej literatury i filmu, kiedy sięgają po tematy kryminalne.

Majewski nie pomylił się w niczym. Stworzył emocjonalne widowisko, dał widzom zadowolenie, zrobił dobrą robotę.

Nie miałem zamiaru pisać recenzji, a wyszła niemal recenzja. A ja tylko chciałem podzielić się paroma refleksjami. Ich ogólnym motywem byłyby dwie uwagi. Po pierwsze to, iż można zrobić dobry film sensacyjny, kryminalny z każdego niemal scenariusza, kiedy się wie jak to zrobić. Po wtóre to, iż tym lepszy będzie taki film, im mniej reżyser będzie myślał o głębi tematu, a więcej o swoim warsztacie. Powtarzam to, co już na tym miejscu pisałem, iż napuszone i wydeptane eksploatacje filmów, dokonywane przez naszych reżyserów, często jeszcze przed przystąpieniem do pracy, przynoszą — przez porównanie z efektem końcowym — złe skutki. Nigdzie nie czytałem co Majewski „chciał powiedzieć” przystępując do realizacji widowiska o mawianego, a przecież zrobił dobry film.